

jeżdżaj, bo reszta sił gonie i jeśli cię nie zobaczą rychło, gotowa jestem na wszystko...

Przestraszony tym razem, zatelegrafował, że przyjeżdża i wsiadł do dziennego pociągu.

Jego teść był pierwszą osobą, którą ujrzał na dworcu w Biarritz, a który pośpieszył na jego przywitanie z wyciągniętymi rękami i całując go, szepnął doń prędko:

— Dziękuję, Thierry! Ona jest tutaj. Ani słowa przy mnie, nieprawdaż? Ja nie wiem o niczym.

Syłwja przybiegła z drugiego końca pociągu i całując go z umieszczeniem, szepnęła:

— Dziękuję, Thierry! Dziękuję, żeś mi wysłuchał!

Doznał niespodziewanej słodyczy i uśmiechnął się.

— Teraz, skoro jesteś, Thierry — oznajmił M. Destremeau — ja spędzę kilka dni po kawalersku. Odstępuję ci swój pokój i robię wycieczkę do Saint - Sebastien, żeby się przyjrzeć walce byków.

Zjedli razem śniadanie, poczem M. Destremeau opuścił ich.

Kiedy zostali sami, Syłwja złożyła ręce, mówiąc zdecydowanym głosem:

— Pozwól, Thierry, jeszcze raz podziękować sobie. Nie broń mi mówić! Nie wiem, co postanowisz, ale będę ci posłuszną; wola twoja będzie mi rozkazem; straciłam bowiem wszelkie prawa...

— Nie straciłaś bynajmniej prawa — przerwał jej — rozporządzania sobą. Jesteś wolna.

Spojrzała mu w oczy: był tak spokojny, że uczuła zimno koło serca. Schyliła głowę, przyjmując postanowienie, jakie przeczuwała, ale mówiła mimo to, dalej, z uporem:

— Straciłam wszelkie prawa, prócz prawa kochania cię, szanowania i uwielbiania, jako najlepszego, najszlachetniejszego i najdoskonalszego człowieka pod słońcem. Kocham cię, Thierry! Ubóstwiam. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę cię tak bez pamięci kochać! Nie schylaj głowy, Thierry... Spójrz na mnie! Kocham cię. Ach, co bym dała za to, abyś mi pozwolił, mnie, która nie mogę już być twoją żoną, oprzeć głowę o twoje ramię. Jestem niegodna ciebie, ale taka nieszczęśliwa, taka słaba... słaba... słaba... i tak potrzebuję oprzeć się o ciebie! Nie chcesz?... Nie, ty nie chcesz! Ty nie chcesz...!

Silumiała łkanie.

Więc trzeba, teraz wyjaśnić sytuację. Bez względu na to, co mię to będzie kosztować, powiedz mi, Thierry, jak zdecydowałaś? Drżę... A jednak nie mogę dłużej w niepewności czekać. Powiedz mi, Thierry?

Odwrócił głowę, podszedł ku oknu i odparł spokojnie:

— Nic nie zdecydowałam, co się ciebie tyczy, bo jeszcze raz powtarzam, żeś wolna. Co do mnie zaś, będę żył pozornie, jak dawniej. Nic z tego co nas dzieli, nie będzie widoczne. Możesz pozostać w dalszym ciągu panią Maritel — jeśli zechcesz... Oto wszystko!

Kiwnęła głową, nie mogąc uwierzyć w jego spokój. Nagle, łamiąc miłoczenie, które z każdą sekundą coraz bardziej dzieliło ich, krzyknęła niemał:

— Więc nigdy nie kochałeś mnie?...

— Ja? Ja nie kochałem cię? Do szaleństwa cię kochałem, ale tyś zbrukała naszą miłość, zabiłaś ją we mnie i nie już nie jest w stanie jej wskrzesić...

Upadła przed nim na kolana z czołem na posadzce. Uspokoił się po chwili, lecz po to tylko, aby głosem smagającym jak bicz i obojętnym dodać:

— Musisz mię przyjąć takim jakim do ciebie wracam. Nie zmienię mego postanowienia i ty, nie masz już władzy nade mną. Włożymy oboje maskę... dla świata... dla twego ojca... A kiedy będziemy sami, każde z nas będzie postępowało według swego widzimisie.

Widząc ją, leżącą na dywanie, nachylił się ku niej, mówiąc:

— Wstań.

Podniosła się, lecz nie wstała z kłęczek.

— Zasłużyłam na tę karę — rzekła, bijąc się w piersi — cokolwiek jednak zrobisz, ja pozostanę twoją: sercem — bo cię kocham, rozumem — bo cię podziwiam, ciałem... bo jestem napiętnowana przez ciebie, bo moje ciało do ciebie należało i należeć będzie, spalone pożądaniem ciebie. Jeżeli kiedyś spojrzysz prawdzie w oczy, przekonasz się, że płama, którą sobie zrobiłam zatarła się i znikła. Zobaczysz, mówię ci, że zobaczysz!

Spojrzała mu w twarz i przerażona, zawołała:

— Moja boleść nie wzrusza cię? Boże, jakis ty silny, Thierry!...

Ruszył nieznacznie głową, uśmiechnął się zlekka i jednym tchem wyrzucił z piersi:

— Hm! Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia — poczem niewzruszony, przeszedł do swego pokoju, zasunął zasuwkę i... rzuciwszy się na łóżko, z głową wtuloną w poduszkę, płakał, płakał, płakał.

Tak przeżyli dwa dni, jak dwoje obcych sobie ludzi; ona, słodka, tkliwa, nieśmiała, wylekła, on, sztywny, zamknięty w sobie, uprzejmy.

W pewnej chwili zagadnęła go:

— Gdybyś zachorował, Thierry, ciężko, poważnie, czy chciałbyś, abym cię pielęgnowała?

— Dlaczego nie? — odparł krótko.

Podziękowała mu głosem słodkim, nie pytając więcej. Ach, niechby zachorował: czuwałaby przy nim, dotykała go; nikt i nic nie mógłby jej przeskodzić przytulić go do

piersi. Tego właśnie pragnęła: przytulić go do siebie i ułagodzić go...

Nazajutrz, przed ich drzwiami, zatrzymała się i składając ręce, przemówiła, dobitnie i poważnie:

— Thierry?...

— Podniósł dłoń gestem, jakby zagrażając jej drogę.

Opuściła ręce, bezradna, zgarbiona i każde poszło do swego pokójku.

W dniu powrotu M. Destremeau jedli obiad wieczorem na tarasie razem i zachowywali się tak swobodnie, że nikt nie mógłby przypuścić, iż byli trójką aktorów dramatu.

Obiad dobiegał końca.

Thierry wodził oczami wokół, gdy nagle, wzrok jego nabrał tak twardego i zaczepnego wyrazu, że nie wiedząc w kim tkwi jego spojrzenie, Syłwja zrozumiała, iż „tamtam“ był na tarasie obecny.

Spokojnie, bez drżenia, nie starając się ukryć swego gestu, położyła łagodnie dłoń na tej pięści, co się zaciskała, wzrok jej wyszukał spojrzenia, które wyzywało, przyciągnął je, zawisł na niem długo, słodko, bratersko i uśmiechnęła się, przecząc głową.

M. Destremeau, dostrzegłszy przyjaciół, wstał, aby się z nimi przywitać.

„Nieznajomy przeszedł obok Syłwji, patrząc jej w oczy.

Thierry zaledwie zdażył zrobić ruch, kiedy Syłwja wpiła mu się dłonią w ramię tak tkliwie i tak mocno, że się uspokoił natychmiast.

Ciągłe słodko uśmiechnięta, mówiła z naciskiem:

— Nie! Nie! Mój kochanku wspaniały. Ani on, ani żaden inny! Tylko ty, ty jeden ty jedyny! Nie usiłuj...

Ojciec jej wrócił. Ledwie, że powiedziała mu dobranoc, podażyła do swego pokoju, trzymając się kurczowo ramienia Thierry'ego, wprowadzając go z sobą, zwycięska, szczęśliwa...

Otworzyła drzwi, weszła z nim razem, zamknęła je i padając mu do nóg, całując jego kolana, mówiła nawpół przytomnie:

— Dzięki ci, mój Boże! Dzięki za łaskę!

Poczem w umieszczeniu:

— Ach, Thierry! Ty mnie kochasz jeszcze! Kochasz mnie. Moje życie do ciebie należy; odbierz mi je, choćby zaraz, jeśli twoja wola: umrę szczęśliwa, bo wiem, że mnie kochasz zawsze... Ja... kocham cię, jak nigdy! Thierry, Thierry mój słodki, zazdrosny kochanku!

Płakała z wdzięczności, dając mu podnieść się z podłogi. Zaniósł ją na łóżko, jakgdyby zbudzony z okropnego snu i wziął ją w ramiona, powtarzając w ekstazie:

„Tylko ty! Ty jeden! Ty jedyny! Mój do śmielci, zazdrosny kochanek!“

Skrót. i tłum. Jotsaw.



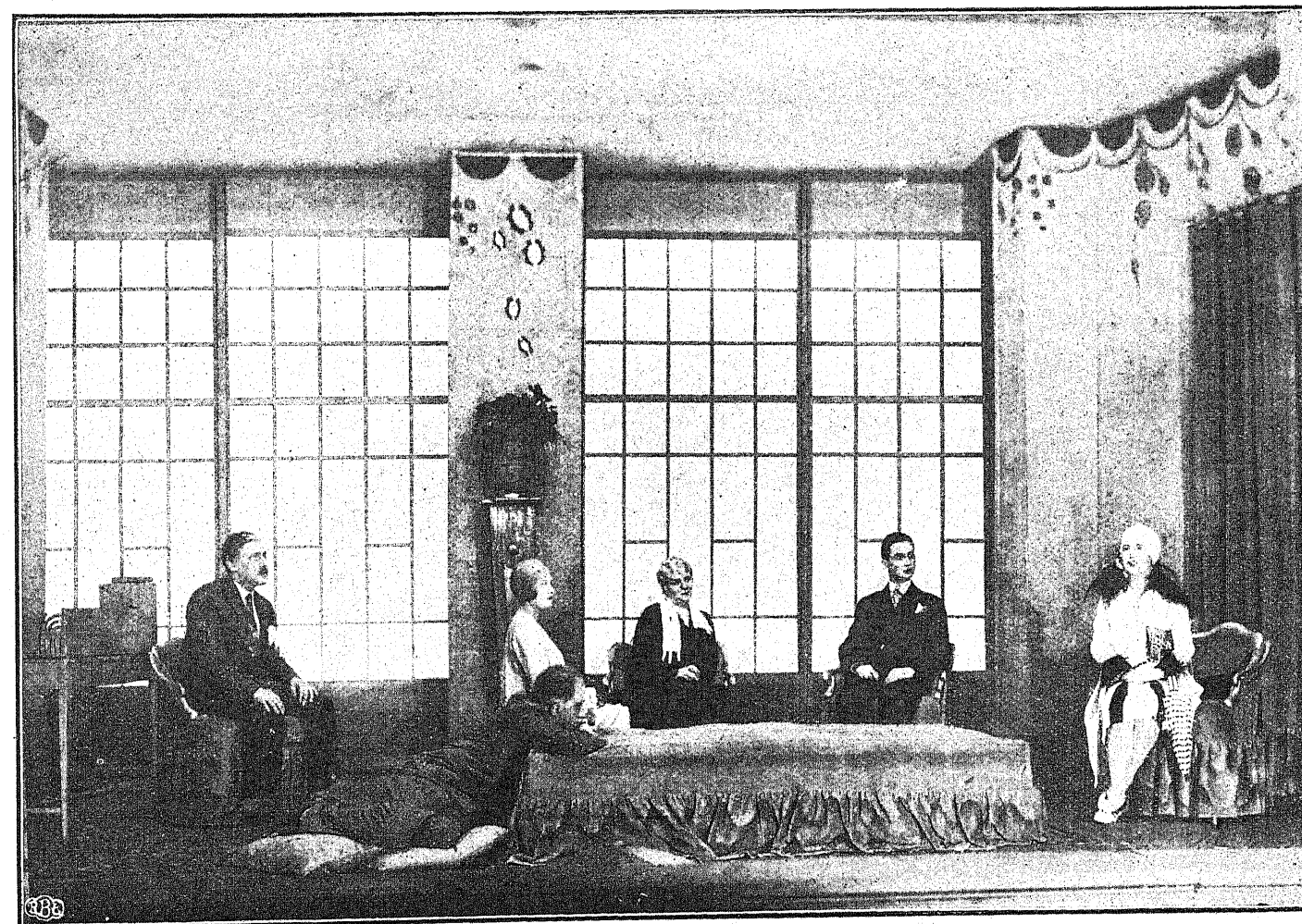
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, dnia 17 lutego 1929 roku.

Nr. 7

## „Pygmaljon” — w Teatrze Miejskim.



Jedną z ciekawszych sztuk wystawionych ostatnio przez Teatr Miejski w Łodzi był „Pygmaljon” — komedia B. Shaw'a. Na zdjęciu powyższem widoczny jest jeden z fragmentów tej zajmującej sztuki z pp.: Jarkowska, Węgierko i Dunajewska.

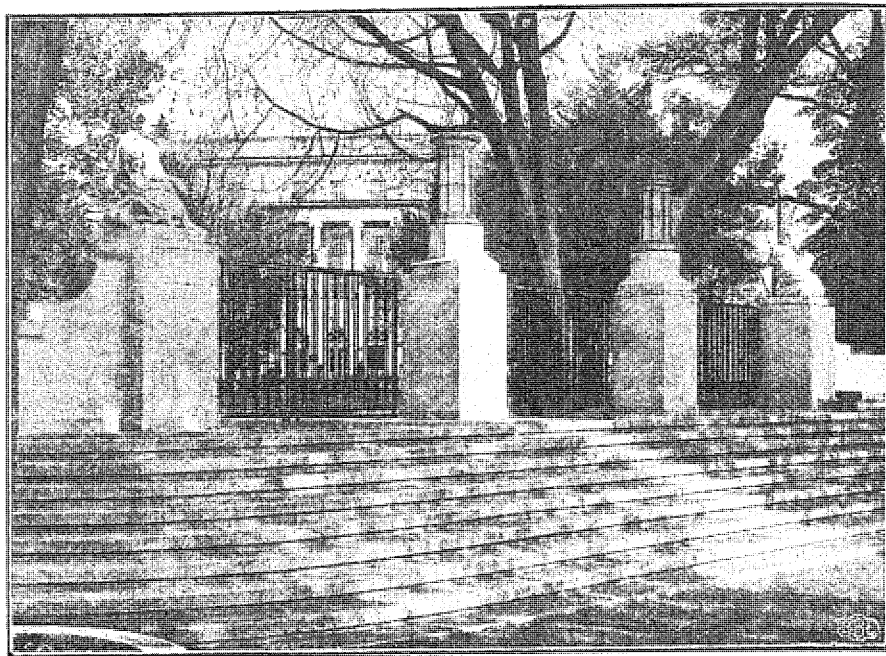
## TEATRALJA.

Z Warszawy i z prowincji. — Co grają za granicą? — Polska sztuka w Anglii.

Sztuki Stefana Krzywoszewskiego, zwłaszcza te, w których z pobłażliwym uśmiechem maluje życie Warszawy, czy Warszawki, cieszą się zawsze dużym powodzeniem. Sporo dowcipu, trochę sentymentu, bystra obserwacja, dobre zakończenie — oto parę czynników, warunkujących dostępność i popularność komedji autora „Djabła i karczmarki”. Tak samo i napisana niedawno, a wystawiona temi dniami w Teatrze Letnim „Panienska z dancingu” od razu zwojowała sobie sympatię p. t. publiczności. Temacik modny, figury dobrze postawione, gra pierwszorzędna — „mein Liebchen, was willst du noch mehr?” W krótkości — chodzi o to, że pewna miła i urocza panienska, dla zarobku tańcząca po nocach w dancingu, w stroju niezmiernie — problematycznym, jest w gruncie rzeczy lilją na nocnym bagnisku, o stuprocentowej bieli cnoty i niewinności. To ostatnie niemal że psuje karierę sympatycznej dziewczynki, odstręcza od niej narazie ubiegającego się o względy „fortancerki” młodego i bogatego przemysłowca. Nieporozumienie to mija jednak szybko, jak mały obłoczek na błękitnie szczyśleńcu; „panienka z dancingu” stanie się legalną małżonką przemysłowca, przestanie błyszczeć w dancingu, a martwić się w domu o kawałek chleba, słowem nie zbraknie nikomu powodów do zadowolenia. Parę kapitalnych figur drugoplanowych (jak właściciel dancingu, ucharacteryzowany na murzyną jazz-bandzista i in.) urozmaicają komedijkę, naogół zgrabną i wesołą. Doskonale spisują się w rolach głównych pp. Górczyńska, Chaveau, Łuszczewski, Fertner, Kurnakowicz.

Teatr Polski w Poznaniu wystawił bardzo ciekawą trzyaktową sztukę głośnego czeskiego autora K. Czapka pod zagadkowym nieco tytułem „R. U. R.” Inicjały te oznaczają przedsiębiorstwo „Rossums Universal Robots”, zajmujące się ni mniej ni więcej tylko — fabrykacją sztucznych ludzi, używanych w charakterze siły roboczej. Chodzi tu o zapobieżenie zgnębnym skutkom wyludnienia ziemi, co — zdaniem autora — niechybnie grozi ludzkości. Fabrykacja „robotów” zakłóca bunt tych sztucznych ludzi, którzy zabijają swych panów i władców — ostatnich ludzi prawdziwych, z wyjątkiem jednego. Ten jednak nie pamięta już „recepty” na wyrób „robotów”, a — do tego — w mechanizmie ich coraz bardziej coś zaczyna szwankować i rozlażyć się. Sytuacja dla życia na ziemi wogóle staje się fatalna. Jedyna nadzieja w związku miłonym młodej pary „robotów”, która — być może — zdoła ubłagać naturę o pomoc w dziele kontynuacji rodzaju ludzkiego.

Sztuka Czapka, w założeniach swych nieco zawila, opiera się na szerszym podłożu filozoficzno-refleksyjnym, nie tracąc jednak przez to posiadanych niewątpliwie zalet sceniczności i posmaku satyry. Teatr w Poznaniu wystawił „R. U. R.” z dużą starannością, idąc naogół po linii tendencji au-



Wejście na teren Powszechniej Wystawy Krajowej w Poznaniu od strony ul. Głogowskiej.

tora. Z wykonawców na pochlebne wyróżnienie zasługują przede wszystkim pp. Żbikowska, Wierzejska i Bracki.

W trudnych warunkach materialnych, wśród jawnej wrogości pewnej części prasy — pracuje w bieżącym sezonie pod dyr. Barwińskiego teatr lwowski, utrzymując przecież naogół repertuar swój na wysokim poziomie, a wystawieniem poszczególnych sztuk znaczne osiągając sukcesy. Ostatnio w krótkich odstępach czasu mamy do zainicjowania dwie premjery lwowskie, dobrze świadczące o tendencjach repertuarowych dyrekcji. „Miłosierdzie” Rostworowskiego, bez względu na problematyczność swej społeczno-filozoficznej treści, jest niewątpliwie dziełem znakomitego poety i pierwszej wody dramaturga. Już choćby tylko swymi walorami formalnymi budzi zaciekawienie i przykuwa do sceny uwagę widza. Piękno wiersza, nastrojowość, oryginalność faktury — wszystko to w ujęciu reżyserskim p. Ryszkowskiego znalazło należyte uwypuklenie, a dobra, zwłaszcza w rolach głównych, obsada (Żebraczka — p. Siemasz kowa, bogacz — p. Guttner) utwierdziła powodzenie całości widowiska. Niemniej dobrze wypadła premjera Schillerowskiej — „Marij Stuart”, posiadającej trwałe właściwości porwania widowni i budzenia w niej żywego oddźwięku treścią królewskiego, a bardzo ludzkiego dramatu. Mimo patos i klasyczne koturny „Marij Stuart” tętni mocą pulsujących w niej namietności, drga prawdą miłości i cierpienia. Na stylowym tle inscenizacyjnym pięknie zarysowała postać nieszcześliwej królowej p. Barwińska, której w tem widowisku przypadła palma aktorskiego pierwszeństwa.

Jeden z najwybitniejszych reżyserów francuskich, Gaston Baty, wystawił w paryskim teatrze „de l'Avenue” — „Hamleta” w oryginalnej postaci, bo według pierwszej

wersji tragedji z r. 1602. Należy nadmienić, że używany powszechnie w teatrach tekst „Hamleta”, zbliżony jest najbardziej do trzeciego wydania sztuki z r. 1623; pierwsza zaś wersja, dobytą z archiwalnych pyłów Baty'ego liczy zaledwie połowę wierszy pełnego tekstu. W roli Hamleta wystąpiła p. Jamois. W teatrze „Femina” ukazała się najnowsza komedja Coolusa p. t. „Osa”. Jest to dość słaba i blaha historyjka o pięknej kobiecie, która ma poprostu zbyt wielkie powodzenie, czego rezultatem jest — rozstanie się z mężem, skromnym urzędnikiem kolonialnym. Piękną panią zaczynają wreszcie nudzić ciągłe hołdy i sukcesy, aż — trafia kosa na kamień — znalazł się mężczyzna, który nietylko się w „Osie” nie zakochał, lecz nawet traktuje ją wrogo. Od nienawiści do miłości jednak — krok tylko jeden, to też sprawa kończy się wyjazdem dwojga „przeciwników” do Maroka i to — aeroplanem. Nie trzeba wątpić, że w drodze nastąpi zupełne pojednanie. Wystawiona w Frankfurcie nad Menem, na uczczenie 50-lecia urodzin Jerzego Kaisera ostatnia sztuka jego „Skórzane głowy” — przyjęta została bardzo ozięble. Akcja toczy się na tle polityczno-militarnem, co, choć zaostrza smak sztuki przyprawą aktualności, nie zaciera jednak słabizny i niekonsekwencji.

W tych dniach na repertuar Royalty Theatre w Londynie weszła komedja Wacława Grubińskiego p. t. „Pokój, wojna i rewolucja”. Jest to właściwie tryptyk sceniczny, składający się z „Diogenesa”, „Pięknej Heleny” i „Lenina”, a przetłóżony na język angielski przez H. Sobieniowskiego i E. Pearsona. Sztuka spotkała się z życzliwą oceną prasy i publiczności.

Delta.



Artyści Teatru Miejskiego w Łodzi urządzili w karnawale wieczór artystyczny p. n. „Bal galganiarzy”. Na zdjęciach od strony lewej uczestnicy wieczora, na prawo zaś fragment z balu.



Komitet zabawy Zrzeszenia Pracowników Notarjatu i Hipoteki w Łodzi.



Grupa uczestników balu maskowego, urządzanego na rzecz Sierocińca Łódzkiego.



Kółko misyjne przy Sodalności Marjańskiej w szkole H. Cholewickiej w Łodzi.



Piękny i wygodny, pelen światła kurytarz w gmachu gimnazjum 8-klasowego A. Zimowskiego w Łodzi z grupą uczniów w czasie przerwy międzylekcyjnej. Fot. A. Meyer.



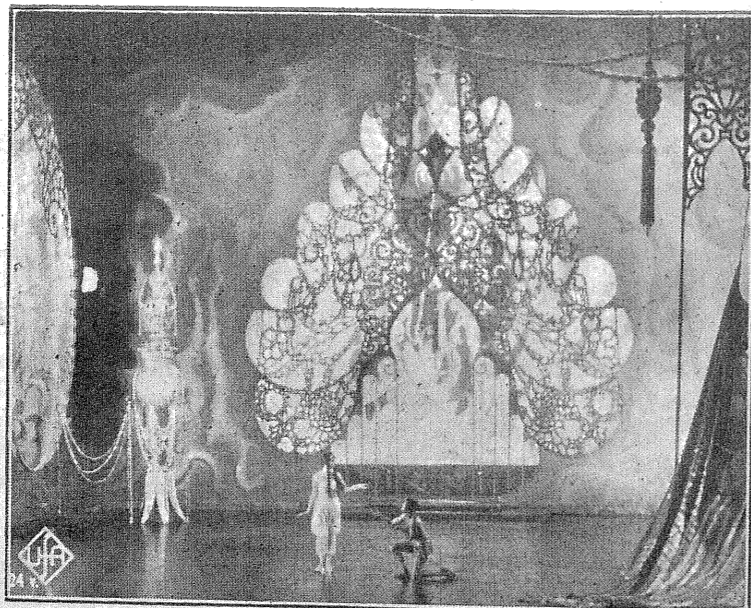
Thelma Todd, partnerka ulubionego Richarda Dix'a w filmie p. n. „Prawo szpady i krwi”.



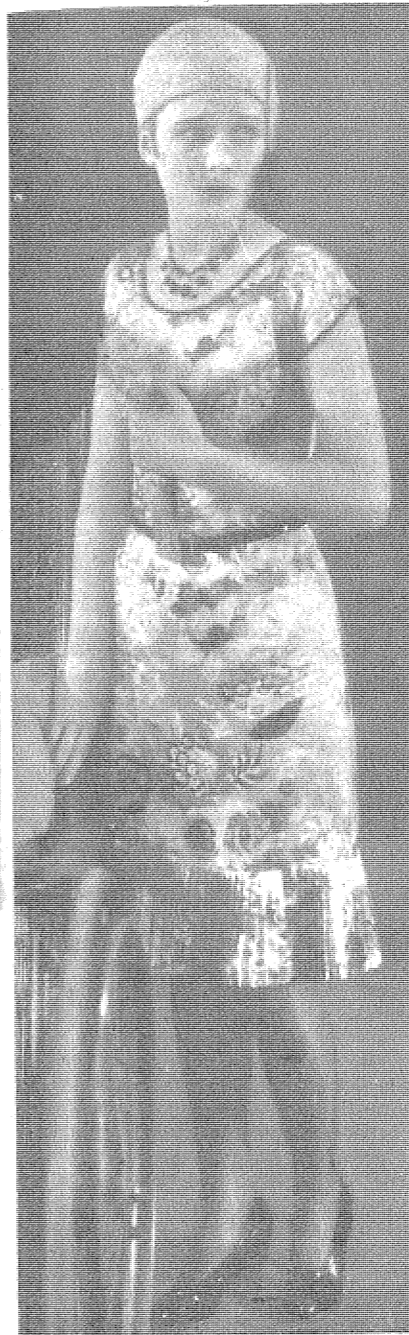
„Błękitne noce”, film z życia legji cudzoziemskiej w Algierze, w którym główne role grają: Imogena Robertson, Norman Kerry i Lewis Stone.



Reginald Denny, sympatyczny aktor komedjowy oraz Dorothea Gulliver i Imogena Robertson w filmie p. n. „Wszystko z miłości”.



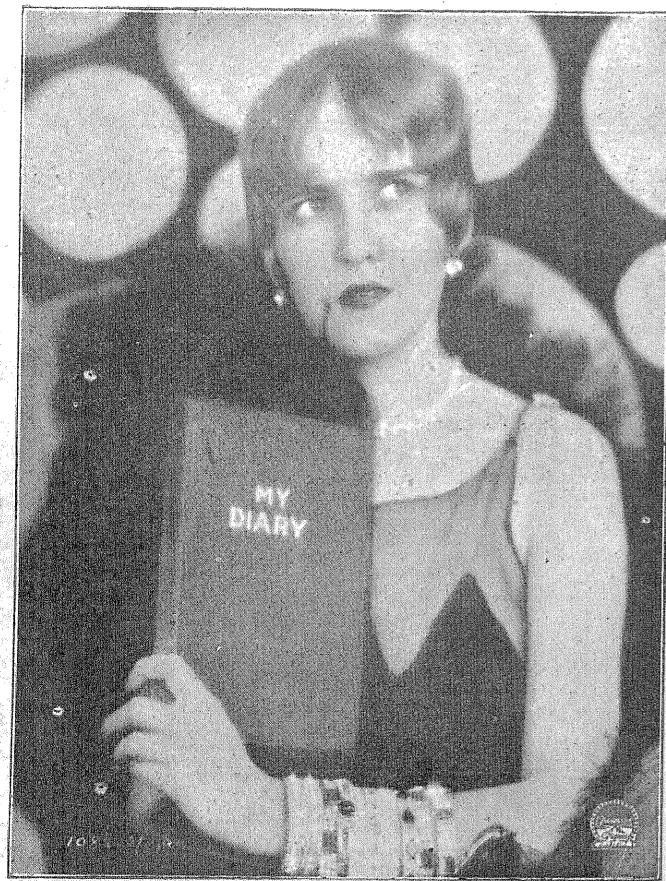
Czarownicą ucztą wzrokową dla miłośników kina jest „Szeherazada”, reżyserji Al. Wolkowa.



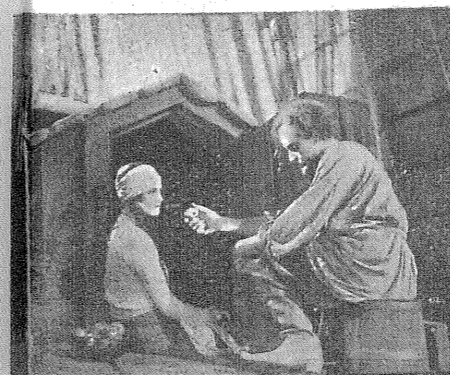
Marcelina Dory, którą publiczność łódzka poznała w filmie p. n. „W wirze wielkomijskim”, jako partnerkę Lon Chaney'a.



Clara Bow i stuprocentowy Clive Brooke w filmie „Egzotyczna kochanka”.



Najpiękniejsza blondynka Ameryki, Ruth Taylor w obrazie p. n. „Mężczyźni wolą blondynki”.



Fragment ze wspaniałego arcydzieła filmowego p. n. „Wołga, Wołga”.



Najcudowniejsze zjawisko ekranu, Greta Garbo, wraz ze swym partnerem, Lars Hansonem w filmie p. n. „Boska kobieta”.



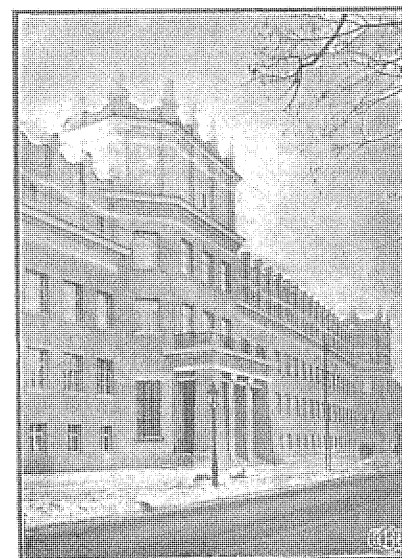
Łodzianie w Szwajcarii na torze łyżwiarskim w Saint Moritz zażywają dobrodziejstw zimy.



P. Prezydent Rzplitej, prof. Ignacy Mościcki z zamilowaniem uprawia sport narciarski w Zakopanem.



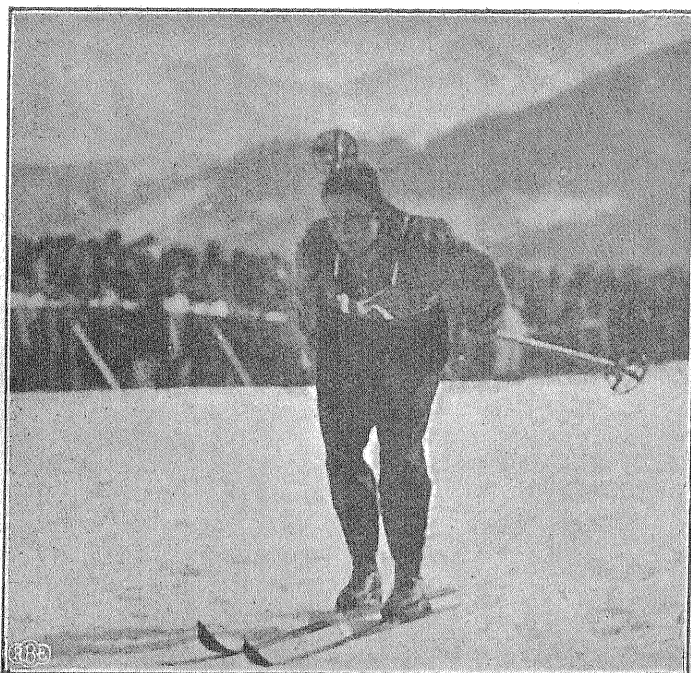
Motne Blue i Raquell Torres w filmie „Tragedja mórz Południowych“.



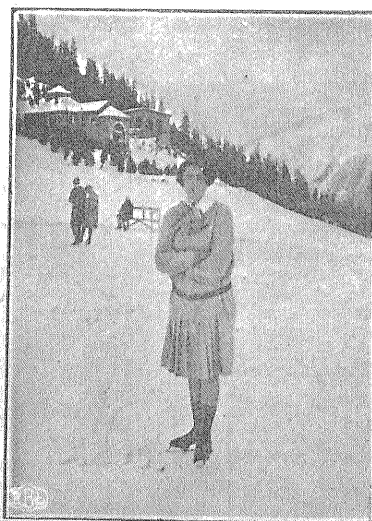
Fragment pałacu rządowego na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.



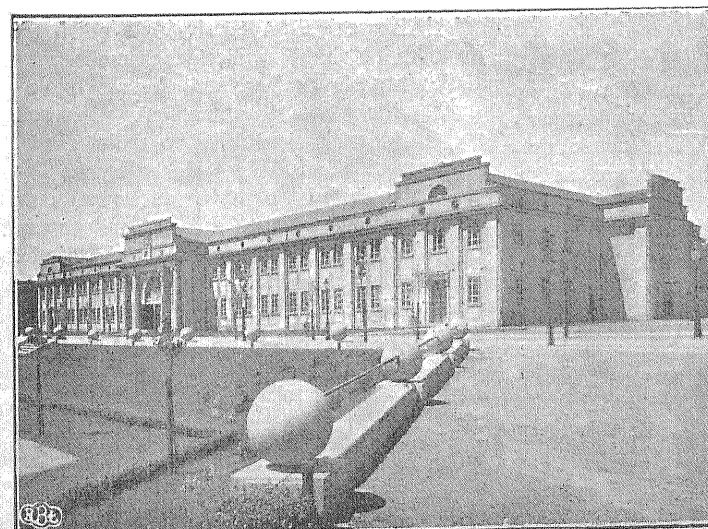
Z międzynarodowych zawodów narciarskich w Zakopanem. P. Polankówna z Friedlanderówną po pięknym sukcesie w zawodach o mistrzostwo Europy.



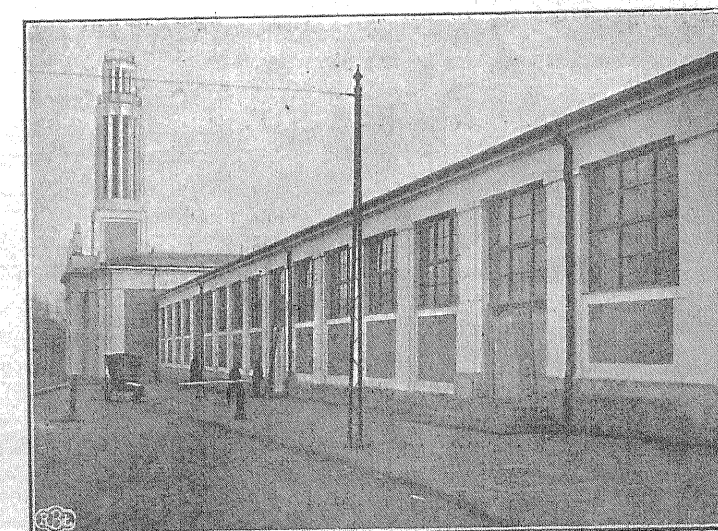
Z międzynarodowych zawodów narciarskich w Zakopanem. P. Polankówna w biegu pań dochodzi do mety.



Uroczy widok jednej z miejscowości w Saint Moritz. W oddali willa na tle spadzistego stoku leśnego. Bliżej łodzianka p. K., na torze łyżwiarskim.



Hala przemysłu metalowego na P. W. K. w Poznaniu.



Hala włókiennicza na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

GABRIEL FAURE.

## Jedyna noc.

Jestem porządny, aż do dźwięczności: raz na rok obowiązkowo wypróżniam szuflady mego biurka i sortuję niezliczone papiery, które w ciągu tygodni i miesięcy, odkładam codziennie na stronę, uważając, że trzeba je schować. Po roku, za wyjątkiem dokumentów osobistych i kilku autografów, na których mi zależy, wszystko niemal idzie do kosza.

Lekko przeziębiony, przekładałem w ów słotny wieczór listopadowy pozostać przy kominku i nie towarzyszyć żonie, którą znajomi namówili na operę.

Doskoczała sposobność do przeprowadzenia tradycyjnej rewizji.

Spaliłem już mnóstwo listów, gdy nagle natykam się na jeden, którego sam widok wywołuje drżenie mojej ręki... Jakim sposobem dostał się między papiery obojętne?

Ogłębienie czytałem go codziennie prawie. Z biegiem lat, rzadziej nieco. Czas i życie zrobiły swoje. Miłości młodzieńcze oparowały mi serce, zmysły raczej. Literatowi, mającemu jakie takie powodzenie, nie zbywa na intrygach i przygodach miłosnych.

Ożeniłem się zresztą wcześniej zażywając dotychczas u boku żony niegasnącego szczęścia.

Moja żona, kobieta inteligentna i dobra, zna ten list... A jednak, rad jestem, że nie ma jej przy mnie w tej chwili i że nie widzi mego wzruszenia, kiedy trzymam w ręku tę zółtką i zmiętą ściwkę papieru.

\* \* \*

Miałem wówczas lat dwadzieścia i pomijając moje idylliczne studenckie — prawdziwie nie kochałem jeszcze nigdy.

\* \* \*

Widzę ją, zamknięty oczy, tak wyraźnie, jak w ów pamiętny wieczór wrześniowy z przed trzydziestu laty, u brzegów jeziora Como.

Nasze fotele były przytulone do siebie. Trzymaliśmy się za ręce — bez słowa. Po chwili, szepnąłem do niej po raz pierwszy, cichutko:

— Françoise...

Odszepnęła mi:

— Jacques...

Zebrałem wreszcie cały zapas odwagi nowicjusza i wyjąkałem błagalnym tonem:

— Nie odjeżdżaj jutro.

— W takim razie — odezwał się jak najpokorniej — mam prośbę do ciebie...

— Jaka?

— Obiecaj najprzód, że ją spełnisz.

— To zbyt ryzykowne.

— Odjeżdżasz jutro, więc nie powinnaś odmawiać mi.

— Mów!

— Daruj mi tę noc...

— Oszalałeś do reszty, chłopcze, jak widzę!

— Tę noc, tę jedyną noc...

Czułem, że niemoc, słabość i tęsknota z przemożną siłą ogarniają jej całą istotę. Ale nagle wysiłkiem woli wstała z fotelu, oznajmiając, że wraca do siebie i wyjedzie jutro nie widząc się ze mną.

— Rzucę się do wody, jeżeli to zrobisz — odparłem i zdaje mi się, że byłem szczerzy.

Moje błędne oczy przeraziły ją. Usiadła znowu i głosem łagodnym, pełnym tkliwości, próbowała uspokoić mnie i przemówić do rozumu. Tłumaczyła mi po raz setny chyba, że nie jest wolna, że to brzydki z mego strony wyzyskiwać sytuację i korzystać z jej samotności.

— Kocham cię, kocham... — odpowiadałem na wszystko z nieodstępnym leitmoty- wem:

„Daruj mi tę noc...”

Odwrociła się twarzą ku mnie, jakgdyby błagając, abym ją oszczędził. Jakże piękna była w tej pozie zranionej Diany z głową w aureoli róż pnących się po dniu drzewa, pod którym siedzieliśmy!

Lecz przyroda jest pomocnicą i współ- niczką najniebezpieczniejszą kochanków, ta przyroda italska szczególnie, poddana jeszcze staremu bóstwu Pan.

Trzeba było całej prostoty ducha Poverello, by nie znaleźć szatana w kielichach kwiatów i w cieniu balsamicznych drzew.

W chwili, kiedy się namyślałem, w jaki sposób zabrać się energicznie do rzeczy, światła elektryczne zgasły i mroki zaległy w pustym już ogrodzie.

Obiąłem M-me Dalbert ramionami, szepcząc:

— Françoise, nie walcz sama ze sobą dłużej... Jutro będziesz daleko...

Z sąsiedniego hotelu dochodziło echo jednej z tych neapolitańskich piosenek, które sprawiają nam obrzydzenie, kiedy jesteśmy trzeźwi, a które — w pewnych chwilach — wtórują głosom naszej zmysłowej natury.

Instyktownie, usta nasze złączyły się w długim, rozkosznym pocałunku. Poczem wstaliśmy i bez słowa, poszliśmy do hotelu.

\* \* \*

Czem była owa noc? Rozsądniej będzie nie myśleć dziś o tem. Nie wierzę bowiem, jak wówczas, że była wyjątkowa. Póki świat światem, a na nim nowicjusze kochankowie, twierdzić będą zawsze, że im jednym tylko dane jest, pierwsze skrzyppce dzierżyć w orkiestrze ekstaz miłosnych.

O świcie odeszła, by wrócić do swego pokoju, wymógłszy ode mnie obietnicę, że nie będę usiłował widzieć się z nią przed jej odjazdem i upoważniając mnie jedynie przyjść pożegnać się z nią w chwili, kiedy będzie wsiadała na statek.

Kiedy po ciężkim śnie ocknąłem się, spoj- rzałem na zegarek.

— Dziesiąta!

Miałem jeszcze dość czasu, zadzwoni- tem więc o śniadanie.

Służący, przynosząc je, podał mi list.

Spojrzałem na kopertę, nie domyślając się, od kogo pochodzi. Oczami spytałem lokaja.

— Od Madame Dalbert.

— Ah! Dobrze. Dziękuję — powie- działem, siłąc się na obojętną minę.

— Oddała mi ten list dziś rano przed odjazdem, nalegając, abym go panu wrę- czył, skoro tylko pan się obudzi.

— Ależ Madame Dalbert nie wyjechała jeszcze!

— Owszem, proszę pana.

— To niemożliwe!

Spojrzałem na zegarek i machinalnie przyłożyłem do ucha, chcąc sprawdzić, czy idzie.

— Dopiero dziesiąta — rzekłem — a statek odchodzi o dwunastą.

— Madame Dalbert zmieniła projekt wi- docznie, gdyż odjechała statkiem, który odchodzi o ósmej, ażeby trafić — jak mó- wiła — w Como ma pociąg pośpieszny do Bazyli.

— Jesteście tego pewni?

— Ja sam odprowadzałem ją i wloko- wałem jej bagaże na statek.

— Rozmyśliła się w takim razie — zam- knąłem rozmowę, z nadludzkim wysiłkiem ukrywając zmieszanie.

\* \* \*

Kiedy zostałem sam, zacząłem drżeć tak mocno, że przez chwilę nie mogłem od- pieczętować listu. Zmiałem go i przedar- lem nawpół, nim otworzyłem.

Dziś jeszcze, po trzydziestu latach, drzę, zabierając się do przeczytania tych wierszy, które mógłbym wyrecytować z pamięci:

„Mój przyjacielu, sprawiam ci ból. Lecz niebawem, kiedy spokój powróci do serca twego, błogosławić mnie będziesz za to, że byłem dość silny, aby nie odkładać nieumik- nionej operacji. Skłamałam ci i chcę, żebyś wiedział o tem; ale nie miałam odwagi ani oznajmić ci tego, ani widzieć się z tobą po oznajmieniu. Jestem wolna, wdowa i bez- dziecina; dlatego właśnie, że jestem wolna, oddałam się od ciebie bez pożegnania, gdy- bym nie odjeżdżała, kto wie, możebym nie odjechała wcale... A tak być nie powinno. Po kilku latach, kilku miesiącach może, roz- stałbyśmy się z okrutnymi słowami na u- stach. Nie psujmy wspomnienia pięknych godzin, których nie żałuję, bo wolni oboje, nie sprzeniewierzyliśmy się nikomu. U- cieczka moje jedynie zdolna zachować czar naszych efemerycznych uniesień miłosnych, czar, który nigdy nie pryśnie doszczętnie. Pojmij mnie dobrze, Jacques: opuszczam cię dlatego, że cię kocham. Błogosław, jak ja, boski epizod. Uroń lże czasami, wspomina- jąc naszą jedyną noc. Żegnaj, mój Jacques kochany, żegnaj mi... na zawsze”.

Skrót i tłum. Jotsaw.



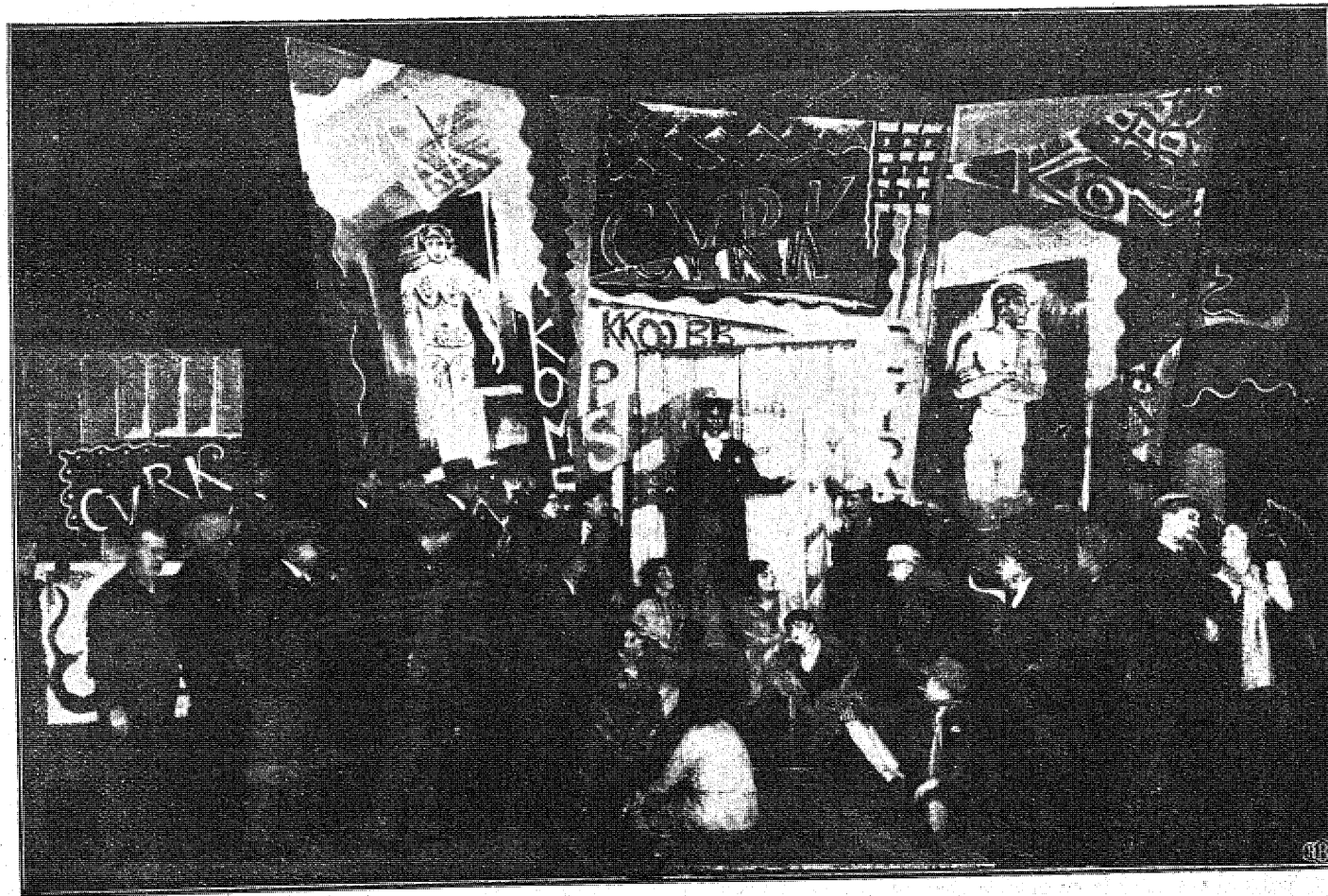
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Niedziela, 24 lutego 1929 roku.

Nr. 8.

## „Hinkeman” w Teatrze Miejskim.



Jedną z najciekawszych, najbardziej odpowiadających Łodzi premier w Teatrze Miejskim była tragedia E. Tollera „Hinkeman”. Na zdjęciu powyższym widzimy fragment aktu II-go, przedstawiający scenę cyrku. W głębi na tle dekoracyj cyrkowych rysuje się postać odwrócony właściciela budy cyrkowej, p. Znicza.